

Teksty Drugie 1995, 5 , s. 126-133



# Rok z Konwickim, rok z Miłoszem

Małgorzata Czermińska

## Rok z Konwickim, rok z Miłoszem

Zestawienie *Kalendarza i klepsydry z Rokiem myśliwego* może się wydawać dosyć dowolne, podobnie jak zestawienie *Dziury w niebie z Doliną Issy*, albo *Pół wieku czyścica z Podróżnym świata*. A może też wydawać się w pewien sposób uzasadnione, choć niewiele z tego wynika. Na przykład, że pewien prozaik i pewien poeta napisali książki w formie dziennika, napisali powieści odwołujące się do dzieciństwa spędzonego na wileńszczyźnie oraz udzielili wywiadu—rzeczki na temat swego życia i twórczości.

Wolno jednak czytelnikowi mieć swoje gusta i rozmyślać o książkach w porządku niezależnym od tego, w jakim je tworzyli autorzy. A właśnie lektura dziennika Miłosza z przelomu lat 87 i 88 przypomniła mi dziennik Konwickiego z roku 1974, co dalej nasunęło kolejne zestawienia. Roman Zimand lubił czytywać dzienniki i „rozmowy z...”, więc może uznałby rzecz za godną chwili namysłu.

Nazwa „dziennik” w odniesieniu do obu tych książek powinna być opatrzona pewnymi zastrzeżeniami, które przypomniłyby, że ma ona w tym wypadku sens trochę inny, niż w odniesieniu do Nalkowskiej, Dąbrowskiej czy Lechonia. Oprócz dzienników wieloletnich znane są też dzienniki obejmujące tylko pewną fazę, wyodrębnioną z całości biografii jakimiś względami, jak okres dojrzewania (Żeromski), podróż (Goszczyński), uwięzienie (Anna Frank), choroba (Brzozowski), wojna (Bobkowski).

Czy ma tu coś do rzeczy przypomnienie powieści wzorowanej na diariuszu, jako zapisie ograniczonego w czasie epizodu? Myślę o *Dzienniku roku zarazy* Daniela Defoe (tekst ten zresztą jak wiadomo długo był uważany za autentyczny ocalony diariusz czasu epidemii). *Kalendarz i klepsydra* Konwickiego oraz *Rok myśliwego* Miłosza mają formę dziennika jednego roku. W obu książkach wybór ten sprawia wrażenie umotywowanego wyłącznie wewnętrzną decyzją piszącego, a nie jakimkolwiek uchwytnym dla czytelnika czynnikiem zewnętrznym. Czyżby były też w jakimś sensie opowieściami o zarazie? Angielski pisarz mógłby się okazać tu patronem bardziej przydatnym, niż to na pierwszy rzut oka wyglądało, gdyby przypomnieć parabolę obmyśloną przez pilnego czytelnika Daniela Defoe, jakim jest Herling-Grudziński,

opowiadający o totalitaryzmie jako o dżumie — ale ten wątek na razie zawieśmy.

*Kalendarz i klepsydra* oraz *Rok myśliwego* nie mieszczą się w żadnej z tych kategorii, nie odsyłają do sytuacji, która miałaby motywować wybór tego a nie innego roku na pisanie dziennika. Nie są też powieściami w kształcie dziennika. Z pewnością należą do obszaru „literatury dokumentu osobistego” (używając terminu Zimanda z jego książki *Diarysta Stefan Ż.*), a nie do fikcji. To, że Konwicki nazywa swoje dziełko „łże-dziennikiem” albo „dziennikiem fałszywym”, potwierdza dokumentarny, a nie fikcyjny charakter jego tekstu. Powieść nie kłamie, tylko zmyśla i nie da się jej „falszować”. Falszować można jedynie dokumenty. Mistyfikacje, które Konwicki wplata w tok *Kalendarza i klepsydry*, nie mogą być traktowane przez czytelnika jak fikcja powieściowa. Jeśli prawdziwość niektórych epizodów wydaje się wątpliwa, to raczej na zasadzie takiej jak w plotce, albo „nabicraniu” kogoś w rozmowie towarzyskiej.

Milosz w *Przedmowie* do *Roku myśliwego* powiada, że starał się dać obraz siebie samego prawdziwy o tyle, o ile to jest możliwe (zwłaszcza, jeśli się pisze dziennik nie wyłącznie dla siebie, ale i z myślą o ewentualnym opublikowaniu). Tak więc jeden z autorów powiada czytelnikowi, iż będzie umyślnie wywodził go w pole, nigdy nie dając pewności, co jest serio a co kpina. Drugi wyznaje, że jest ciekaw (sam dla siebie czując się postacią enigmatyczną), co wyczyta przyszły biograf. Obaj więc zadają czytelnikowi zagadki i obaj — zagadki o sobie. Traktując obie książki jako dzienniki osobiste a nie powieści, nie możemy jednak nie dostrzec, iż mają one w swej budowie pewien rys wyraźnie obcy dziennikowi *sensu stricto*. W klasycznym już dziś studium Michała Głowińskiego o powieści i dzienniku intymnym za jedną z podstawowych różnic uważa się to, iż dziennik autentyczny w przeciwieństwie do powieści w kształcie dziennika jest nie-dziełem. Nie obowiązuje go logika kompozycyjna, a zwłaszcza jego zakończenie nie jest zamknięciem, ale raczej urwaniem. Do *Kalendarza i klepsydry* oraz *Roku myśliwego* tego rozróżnienia nie da się zastosować. Nie dlatego, żeby było fałszywe. Dlatego, jak sądzę, że od czasu, kiedy je Głowiński sformułował (pod koniec lat sześćdziesiątych) sytuacja dziennika osobistego w polskiej literaturze tak się zmieniła.

Perspektywa publikowania dziennika intymnego była czymś brany pod uwagę już na początku wieku, np. przez młodą Nałkowską, ale

było to w myśl konwencji „pięćdziesiąt lat po śmierci”. Dopiero Gombrowicz uczynił zasadą działania natychmiastowe publikowanie dziennika, tak samo jak powieści, dramatu czy wiersza. Z założenia, i wyznając to wielokrotnie wprost, pisał od razu dla współczesnego sobie czytelnika, pomimo że był zarazem tak ostentacyjnie egotyczny, jakby pisał wyłącznie dla siebie. Narastający proces literaryzacji dziennika doprowadził w ten sposób do pewnego punktu krytycznego i stworzył możliwość zniesienia granicy pomiędzy dziennikiem a powieścią. Już nie trzeba wymyślać *Dziennika Franciszki Krasińskiej* czy *Bez dogmatu*. Wystarczy wybierać pewne zdarzenia z własnej codzienności, dodając trochę marzeń i wspomnień, spisywać to, opracowywać i po pewnym czasie książka gotowa. (Nie mówię tego ironicznie, przeciwnie, wolę np. *Miesiące* Brandysa niż różne „eksperymenty powieściowe” rodem z „magicznego realizmu”.) Zarazem jednak książka taka ma cechy skomponowanej całości, jest już bardziej dziełem niż nie-dziełem, choć zapewne podlega regułom poetyki dzieła otwartego, jakby powiedział Umberto Eco, skoro pozostaje w niej nieprzewidywalność możliwego dalszego ciągu życiowej „fabuły”.

Obie rozważane tu książki ostentacyjnie manifestują swoje wyraźne, „na okrągło” wykończone zamknięcie. Rok z Konwickim, rok z Miłoszem. I ani dnia więcej. To nie szkodzi, że Konwicki nie troszczy się o daty (choć rok 1974 parokrotnie wymienia), a do nazw dni tygodnia dodaje zawsze jakicś dowcipuszki, bo nie jest diarystą–pedantem. Zaczyna jednak dokładnie od Nowego Roku, później nie zaniedbuje parokrotnego zawiadamiania nas jak mija wiosna, lato i jesień (oczywiście pada słowo „Zaduszki”) i kończy perspektywą Bożego Narodzenia, które jest tuż, tuż. Rok jest więc pełny, w niewzruszonym, odwiecznym ładzie. Porządku tego nie mogą obalić żadne szaleństwa współczesności, na którą tyle narzeka Konwicki powiadając, że jest staroświecki i prowincjonalny.

Miłosz zaczyna i kończy niby w środku, bo od sierpnia do sierpnia, za to datuje zawsze z pełną ścisłością dzień, miesiąc (rzymską cyfrą, czego już dziś w szkołach nie uczą) i rok całkowitą czterocyfrową formułą. Pierwszy zapis nosi datę 1 VIII 1987, Berkeley. Ostatni – 30 VII 1988. Do zupełności kalendarzowego porządku zabrakło tylko następnego dnia, 31 lipca. Ale ponieważ zapisy nie są bez wyjątku codzienne, ta luka mieści się w przyjętych regułach i rok jest bez wątpienia pełny. Zestawienie *Kalendarza i klepsydry z Rokiem myśliwego* czyni tę kwe-

ścię dopełnienia, zamknięcia roku tym wyraźniejszą, że czytelnik obu książek nie może dostrzec drugiego, obok diariusza, paraliterackiego wzorca wypowiedzi. Jest to gatunek bynajmniej nie osobisty: kalendarz. U Konwickiego leży na samym wierzchu, w tytule. U Miłosza podobnie, jeszcze z objaśnieniem w *Przedmowie*, w której wspomina, że zaczerpnął tytuł swego dziennika od jednej z ulubionych w dzieciństwie książek Włodzimierza Korsaka.

*Rok myśliwy* jest kalendarzem zajęć podzielonym na miesiące i wręcz podręcznikiem łowiectwa, co prawda w pierwszym rzędzie dla leśnych obszarów północy. Moja książka jako żywo nic nie ma wspólnego z tą tematyką, za to sporo z samą formą kalendarza. Jest diariuszem jednego roku, od sierpnia 1987 do sierpnia 1988. A że w tych zapisach, codziennych albo co kilka dni, powracam nieraz do dawnych zdarzeń i ludzi, których znałem, splatają się ze sobą na tych stronach przeszłość i teraźniejszość.

*Kalendarz i klepsydra*, choć nie przywołuje żadnego konkretnego przykładu, jest przecież w swym pomyśle nawet bliższa paraliterackiemu gatunkowi kalendarza, niż książka Miłosza, biorąca tytuł od Korsaka. Bliższa choćby przez to, że trzyma się porządku roku zaczętego od 1 stycznia, w paru miejscach odwołuje się do wymiaru obrzędowego (wspominając Nowy Rok, Zaduszki i Boże Narodzenie), a także przez wyraźne uobecnienie rytmu czterech pór roku, które Miłoszowi zacierają się prawie zupełnie pod jednostajnie słonecznym niebem Kalifornii.

Luźna z zasady narracja dziennikowa zostaje więc przez obu pisarzy uchwycona w zewnętrznej, wyraźnej, zamkniętej ramie kalendarza. Rama taka wycina ze strumienia czasu określony odcinek, którego początek i koniec oddalone są od siebie rozpiętością trzystu sześćdziesięciu pięciu dni, ale jednocześnie ów koniec jest echowym odbiciem oddalonego początku. „Od sierpnia do sierpnia” powiada Miłosz. A Konwicki, który zaczął w Nowy Rok a kończy przed Bożym Narodzeniem, w ostatnich zdaniach mówi o „klepsydrze pamięci”. Klepsydra ma przecież to do siebie, że można ją nieskończoną liczbę razy odwracać i zawsze ten sam piasek w tym samym naczyniu będzie się przesypywał tak samo.

Obaj autorzy konstruują swoją opowieść tak, że spoza liniowego, niepowstrzymanego przepływu czasu przebija cykliczny ruch zamkniętego koła, którego jeden obrót można zapisać i pokazać tak, żeby starczył za całą resztę, żeby tę resztę pozostającą na zewnątrz jakoś w sobie (choćby ułomnie i wybiórczo) pomieścić. Tym, co pozwala za-

tryumfować nad nicodwralnością przepływu czasu jest pamięć. To dzięki niej obaj diaryści, posuwając się wzdłuż kalendarzowego porządku, w terażniejszości jednego roku, odbiegają dowolnie w minione dziesięciolecia, metodą odkrytą przez Prousta, a potem latami doskonaloną przez kolejnych twórców powieści strumienia świadomości. Obaj zresztą w konkluzji mówią o poczuciu niewystarczalności wysiłku, podjętego w skończonym właśnie dzienniku.

Konwicki:

Bezsenność. Klepsydra pamięci. Płatki śniegu spadają z loskotem na nieżywą ziemię. Gruzowisko rzeczy byłych i niebyłych. Co to kogo obchodzi. Co to mnie obchodzi.

Miłosz:

[...] bo wszystkie te postacie istnieją równocześnie w różnych swoich fazach, ale ten wymiar czasu jest niemożliwy do uchwycenia w sposób linearny, czyli według rozwijającej się akcji, mimo coraz częstszego użytku techniki rzutów wstecz. [...] gdzie są te wyjątkowe zalety literatury? Pewnie też skromne, choć jej nieporadność, kiedy próbuje schwytać i utrwalić w słowach rzeczywistość, to już osobny temat.

Oba zakończenia, zacytowane powyżej, dostarczają argumentów jeszcze innego rodzaju na rzecz tezy, że dwa te dzienniki nie dają się potraktować jako „nie-dzieła”. Obok podstawowej motywacji ukończenia tekstu, jaką jest zewnętrzny fakt, że minął okrągły rok prowadzenia dziennika, pojawia się motywacja wewnętrzzektstowa, poniekąd retoryczna, odwołująca się do usankcjonowanych tradycją sposobów świadomego, nieprzypadkowego kończenia wypowiedzi. Konwicki w ostatnim akapicie dokonuje błyskawicznego podsumowania całej swojej twórczości i rozważa możliwość zamknięcia napisanego właśnie dziennika autoironiczną, wyrazistą pointą: „Ta książka mogłaby być moją ostatnią książką. Ostatnią prawdą–nieprawdą, strachem–udaniem, kokieterią–jękiem. Mogłaby się zakończyć męską konkluzją: omnis moriar”.

W ostatnim zdaniu Miłosza pojawia się sformułowanie „... to już osobny temat”, podobne do znanego już w średniowieczu toposu (wspomina o nim Curtius), który pozwalał motywować zakończenie tym, że temat się wyczerpał i należałoby zacząć coś zupełnie innego.

Zamykając swe książki w takiej wyraźnej ramie kompozycyjnej, obaj diaryści wypełnili wnętrze tej ramy swobodnie wymieszaną różnorodnością rzeczy. Byli tu w zgodzie z inną cechą kalendarza jako gatunku, który w niezmienniej i powtarzającej się zawsze (z drobnym wyjątkiem

roku przestępnego) siatce trzystu sześćdziesięciu pięciu dni mięści sylwiczną mieszaninę spraw różnego rodzaju. Obaj diaryści mówią o pogodzie, zdrowiu, o innych ludziach, o tym samym mięście swojej młodości, o własnej i cudzej literaturze, o polityce, alkoholu, podróżach. Trochę (raczej niewiele) o kobietach w swoim życiu. Konwicki także o boksie i piłce nożnej. Miłosz o przyjemnościach prowadzenia samochodu i pływania. Konwicki w pewnym momencie wspomina Miłosza, a Miłosz Konwickiego.

Obaj też piszą o stalinizmie i swym udziale w nim. Podjęcie tego tematu nadaje obu książkom jeszcze inny wymiar. Gdyby były po prostu i tylko dziennikami, może nie byłoby to konieczne, żeby jeden autor w roku 1974, a drugi w 1987 i 88 wracał w tak znaczący sposób do lat pięćdziesiątych. Istnieją ważne odmienności, wynikające z różnic osobowości oraz z faktu, że jedna książka musiała przebić się przez pecelewską cenzurę, bo została napisana w okresie, kiedy realny socjalizm zdawał się jeszcze trzymać całkiem krzepko, natomiast druga powstała w warunkach emigracyjnej wolności, a na dodatek w okresie, kiedy nawet w Związku Radzieckim komunizm wyraźnie się nadkruszał, zaczęła się „glasnost”, a w Polsce kwitło niezależne życie wydawnicze „drugiego obiegu”. Były już także znane wcześniejsze książki Miłosza, naświetlające ten epizod jego biografii, tzn. *Zniewolony umysł*, *Rozmowy przeprowadzone przez Fiutę* i *Podrózny świata* Gorcezyńskiej (wówczas pod nazwiskiem Czarneckiej).

Mimo tych różnic w materii samej i w sytuacji powstania obu książek, jest pewna zasadnicza zbiczność, która w tych dziennikach jednego roku każe też widziec całościowe ujęcie życia, autointerpretację losu, właściwą wcale nie diariuszowi, ale autobiografii. Zwłaszcza wyraźne jest to u Konwickiego, który publikował *Kalendarz i klepsydrę* jako pierwszą jawnie osobistą książkę. Na początku, niby w pamiętniku lub autobiografii właśnie, pojawiają się informacje o rodzicach. Potem, na przemian z anegdotami o warszawskim świątku i przypomnieniami podróży (a to do Chin w 1956, a to do Ameryki w 1973), wciąż wypływają epizody z czasów chłopięcych w Kolonii Wilceńskiej i pierwszych lat powojennych, aż gdzieś mimochodem diarysta zauważa, że mało w tym dzienniku mijającego właśnie roku 1974. W istocie mało. Prawdę mówiąc trudno się dziwić, skoro klepsydra pamięci przypomnieć miała ponad cztery dziesięciolecia.

W tym zgęszczeniu zarysowuje się za to wyraźna linia losu. Jest to

biografia przełamana przez wojnę, rozdzielona między dwie ojczyzny (wileńską i nową, w której zawsze się jest „cudzoziemcem tranzytowym”). Biografia naznaczona skazą, tym krótkim pryszczatym epizodem: „Byłem stalinistą”.

W przeciwieństwie do autora *Kalendarza i klepsydry*, Miłosz pisząc *Rok myśliwego* nie zaczynał, ale uzupełniał już po raz kolejny swą rozłożoną na osobne tomy autobiograficzną opowieść. Uzupełniał po części nowymi przeżyciami z czasu pisania w kolejnych miesiącach 1987 i 1988, ale nieporównanie więcej uwagi poświęcił różnym zdarzeniom z przeszłości, zwłaszcza tym, dla których poprzednio nie znalazło się dość miejsca w *Zniewolonym umyśle*, *Rodzinnej Europie*, *Ziemi Ulro*. Najwięcej miejsca zajęło opowiadanie o tej samej skazie, której Konwicki poświęcił swoją spowiedź pełną i pięknego wstydu, i żalu, i wścickości. Miłosz też mówi o wstydzie. Także o tym, że był świadom, iż podpisuje pakt z diabłem, jak określił Putrament jego wyjazd do Waszyngtonu w roli pracownika służby dyplomatycznej PRL. Prawie połowę *Roku myśliwego* zajmuje rozciągnięta na kilkadziesiąt dziennych zapisów opowieść o latach od 1949 do stycznia 1951, to jest do chwili zerwania „diabelskiego paktu”. Żaden inny wątek z całego ponad siedemdziesięcioletniego życia nie został w tej książce potraktowany tak obszernie.

Pośród faktów, zdarzeń, dat i komentarzy zanotowanych przez każdego z diarystów ukrywa się coś, co jest śladem mentalności, odcisniętym w tekście. Śladem zawsze jakoś zmodyfikowanym przez reguły rządzące tym tekstem i przez okoliczności jego powstania, decydujące ostatecznie jak wygląda to, co chce się powiedzieć, co tylko zasugerować, a co zupełnie przemilczeć.

Jak więc wspominać, jakim językiem opowiadać o latach pięćdziesiątych? Tak jak o latach zarazy? Rozeźlony Konwicki kilkakrotnie nazwał pornografią zainteresowanie, które przejawiają młodzi ludzie wobec stalinowskiego epizodu biografii jego własnej i wielu pisarzy jego pokolenia. To niewątpliwie efektowny sztucz polemiczny. Nie odmawiając Konwickiemu zręczności, trudno mu przyznać rację, gdy mówi, że to tylko niezdrowa ciekawość i brzydka chęć przyglądania się nieprzyzwoitościom kieruje pytaniami o uległość pisarzy wobec władzy w latach pięćdziesiątych. Pisał o tym obszernie Włodzimierz Bolecki, wówczas jeszcze pod pseudonimem, jako Jerzy Malewski, i choć z nim także warto by polemizować, bo kilka spraw uprościł, nie będę tutaj te-



go wątku rozwijać szczegółowo. Jeśli go wspominam to tylko dlatego, że jest on jednym z przykładów świadczących o tym, że zależność od władzy, najdotkliwsza dla literatury w systemie totalitarnym, wciąż budzi i z pewnością jeszcze długo będzie budzić emocje. Jest bowiem nieodłączna od ocen moralnych, a wciąż jeszcze za mało poznana.

Stawianie tych pytań ma też po części wymiar pokoleniowy. Dochodzi to do głosu zarówno we wspomnianej polemice Boleckiego, jak i w rozmowach Stanisława Beresia z Konwickim, zatytułowanych *Pół wieku czyśćca*, czy Piotra Szewca ze Strykowskiem, wydanych jako *Ocalony na Wschodzie*. Beres z Konwickim po prostu walczą ze sobą i to najczęściej w zwarcu. Szewc nie pyta agresywnie, ale jednak w pewnym momencie Strykowski przypierany do muru reaguje na wpół żartem, na wpół serio: „To przesłuchanie?” Odpowiada jednak i kontynuuje to, o czym musi opowiedzieć człowiekowi młodszemu o dwa pokolenia. Kiedy jego słuchacz mówi:

„Przyznam się Panu, że nie wszystko, co Pan powiedział w związku z komunizmem, wydało mi się jasne...” stary pisarz replikuje: „Bo jasność nie jest cechą komunizmu”.

Rok z Konwickim, rok z Miłoszem. Oba te dzienniki donoszą o miłych życia drobiazgach, jak u Konwickiego warszawski wróbel złapany przez kota Iwana, czy u Miłosza kwiaty heliotropu objedzone przez jelenie w kalifornijskim ogrodzie. Mówią także o lekturach, pisaniu, o spotkaniach z ludźmi — ale też oba dzienniki wykraczają poza przepływ bieżących zdarzeń unoszących diarystę, wykraczają daleko poza ten jeden rok. Lata płyną, wszystko się zmieniło, wśród mnóstwa zdarzeń i nowych dokonań kilka krótkich lat przeżytych dawno temu mogłoby już się zatrzeć w pamięci.

Widocznie jednak nie może. I warszawski „Iżę-dziennik”, napisany przed dwudziestu laty i teraz całkiem niedawno kalifornijski rok poety polującego na piękność świata, okazują się także autobiografiami z tajemnicą, opowieściami o wstydlivej skazie. Rysuje się w nich los ludzi złapanych w pułapkę historii. Sięgnąwszy do kręgu wyobrażeń łowieckich (tym razem z *Roku myśliwego* Korsaka a nie Miłosza), można by powiedzieć, że zarówno Konwickiemu jak Miłoszowi udało się wydostać z zaciśniętych wnyków, ale blizny po żelaznych zębach sidła nie całkiem zniknęły.

Małgorzata Czerwińska